

Mirosława Kudła (Robótka)
(uczennica w l. 1963-1967)

I LO kiedyś...

Z punktu widzenia dzisiejszej młodzieży moje wspomnienia dotyczą czasów bardzo odległych, gdyż sięgają one okresu sprzed ponad pięćdziesięciu lat. Realia lat 60., jak sądzę, są dla niej czymś niewyobrażalnym. Po prostu wszystko wtedy było inne. Mam jednak nadzieję, że to krótkie wspomnienie z moich szkolnych lat, przybliży nieco ten czas.

Ukończyłam Szkołę Podstawową nr 1 w Szubinie. W owym czasie była to szkoła siedmioklasowa. Po zdaniu egzaminu wstępnego do szkoły średniej, we wrześniu 1963 r. rozpoczęłam edukację w I Liceum Ogólnokształcącym im. Ludwika Waryńskiego w Bydgoszczy. Liceum było wówczas czteroletnie i obejmowało klasy od ósmej do jedenastej. Dziś oczywiście wygląda to inaczej, ponieważ szkoła podstawowa obejmuje osiem klas, natomiast w szkołach średnich mamy klasy 1-4.

Nieco inaczej wyglądał też rok szkolny. Był podzielony na cztery okresy, co oznaczało, że co 2,5 miesiąca wystawiano oceny okresowe. Jeśli ktoś otrzymywał „dwóję”, musiał ją poprawiać. Ważne były także oceny na półrocze.

Okres tych czterech lat upływał pod znakiem intensywnej nauki. Przedmioty nauczania niewiele różniły się od dzisiejszych, ale za to wygląd szkoły był

zupełnie inny. Nie dotyczyło to oczywiście samego budynku, ale z pewnością inaczej wyglądały wnętrza, które bynajmniej nie przedstawiały się rewelacyjnie. Podłogi na korytarzach były z desek, malowane czymś czarnym, natomiast ściany korytarzy koloru szarego, kryte były farbą olejną stanowiącą lamperię. Wrażenie może nieco ponure, ale typowe dla owych czasów. W okolicy pokoju nauczycielskiego znajdowały się gablotki z gazetkami. Nie pamiętam już jednak co tam wywieszano.

Ogrzewanie włączano 15 października i działało do 15 kwietnia. Wprawdzie masywne kaloryfery żebrowe dawały ciepło, jednak mimo to szkoła nie była do końca dogrzana. Po pierwsze dlatego, gdyż okna nie należały do najszczelniejszych, a po drugie – w klasach ławki zasłaniały źródła ciepła.

My, jako uczniowie nie mieliśmy szatni. Na korytarzach od strony sal lekcyjnych były szafki, do których pakowaliśmy ubrania zimowe i zamykaliśmy na kłódkę. W okresie późniejszym, chyba w 10-tej klasie, zaczął się remont i trwał do końca mojej edukacji. Dopiero wówczas przygotowano szatnie oraz trzecie piętro. Szatnie usytuowane w piwnicy były oddzielone siatką ogrodzeniową. Podczas remontu któryś z pracowników wlał kwas azotowy do wiadra cynowego i trzeba było uczniów ewakuować. Pył i kurz był wszechobecny.

Młodzieży w szkole było dużo, a klasy liczne. Strój do szkoły musiał być stonowany w kolorze granatowym lub czarnym. Nie do pomyślenia było, aby uczeń przyszedł do szkoły przystrojony pstrokatymi wzorami. Dziewczęta nie mogły natomiast nosić żadnego makijażu pod groźbą wyrzucenia ze szkoły.

Obowiązkowo należało mieć tarczę szkolną, zarówno w samej szkole, jak i poza nią, przy czym musiała być przyszyta do ubrania. Za jej brak, lub noszenie w niewłaściwy sposób, można było ponieść konsekwencje. Pamiętam, że sama doświadczyłam takiej sytuacji. Otóż pewnego razu zdarzyło się, że podczas dojazdu pociągiem z Szubina do Bydgoszczy, przypinałam sobie tarczę agrafką do bluzki, co niestety zauważył, jadący tym samym pociągiem, pracownik bydgoskiego wydziału oświaty. Po przyjeździe na miejsce skierował swe kroki prosto

do gabinetu naszego dyrektora i poinformował o moim „występku”. Naturalnie zostałam zaraz wezwana i otrzymałam ostrą reprimendę.

W owym czasie weszła moda na ortaliony, którą mogli lansować szczególnie uczniowie bogatsi. Niestety płaszcze zaczęły regularnie ginąć z szatni. Przez siatkę bowiem łatwo było przeciągnąć taki ortalion. W efekcie, dyrektor Feliks Kaute wydał zakaz przychodzenia do szkoły w takich ubraniach. Obok tego, zgodnie z duchem czasu, nastała moda na krótkie spódnice. Niektórzy nauczyciele nie byli temu przychylni, co dotyczyło zwłaszcza języka niemieckiego i pani Władymiry Szymańskiej. Była to osoba niepowtarzalna, a zarazem zupełnie nieprzewidywalna w swoim postępowaniu, zaś jej lekcje stanowiły niekiedy wielką zagadkę. Efekty edukacji z j. niemieckiego były bardzo pozytywne, ale okupione ogromnym stresem. Poza tym, nauczyciele, do których zwracaliśmy się „Panie Profesorze” lub „Pani Profesor”, byli dość przyjaźni uczniom. Pamiętam niektórych z nich, np. prof. Miedzianowską (j. polski), Barbarę Kujawę (matematyka), Jana Nidosuga (j. rosyjski, wychowawca mojej klasy), Władymirę Szymańską (j. niemiecki), Reginę Różyczkę (fizyka), Wiesławę Dymel (fizyka), Zdzisławę Pankowską (chemia) oraz Romana Beila (historia).

Oczywiście lekcji religii nie było w szkole. Na zajęcia uczęszczaliśmy do kościoła pw. św. Apostołów Piotra i Pawła. Indoktrynacji politycznej w szkole nie zauważyłam, może dlatego, że niektórzy nauczyciele pamiętali czasy przedwojenne i nie byli zależni od władz. Byli też młodsi, ale generalnie szkoła, jeśli mowa o lekcjach, była neutralna politycznie. Z drugiej strony nie były też raczej poruszane tematy „nieprawomyślne”. Utkwił mi w pamięci jeden incydent na temat Powstania Warszawskiego i podważenia jego słuszności przez nauczyciela. Wówczas wyraziłam swoją opinię o armii radzieckiej oczekującej na wymordowanie Polaków przez Niemców, co zaowocowało obniżoną oceną z historii. Niemniej jednak odbywały się różne uroczystości szkolne, typowe dla tamtych czasów. W auli miały miejsce akademie z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej, na których przemawiał dyrektor szkoły; były też apele z okazji Dnia Zwycięstwa.

Nauczyciele i uczniowie – przynajmniej ci, którzy byli z Bydgoszczy – musieli także brać udział w pochodach pierwszomajowych. Nie obchodzono za to święta 11 listopada. Dnia 22 lipca, a więc w rocznicę Manifestu PKWN, był dzień ustawowo wolny, więc i nas nie było w tym czasie w szkole.

W naszym liceum działał Związek Młodzieży Socjalistycznej, ale nie było zbyt dużo chętnych do wstępowania w jego szeregi. Związek ten organizował czasem jakieś akcje, ale nie cieszyły się większym powodzeniem.

Warto wspomnieć o rozrywkach w wolnych chwilach. Powszechna była gra w cymbergaja, do którego potrzebny był blat, trzy monety i mała linijka. Nie pamiętam już dokładnie zasad, bo grywali w to chłopcy. Przerwy między lekcjami były pięciominutowe, natomiast długa przerwa trwała piętnaście minut. Chodziliśmy do szkoły także w soboty. Lekcje wychowania fizycznego odbywały się w sali gimnastycznej, znajdującej się po drugiej stronie ul. Krasińskiego. Budynek ten już nie istnieje.

Przed maturą, którą zdałam w maju 1967 r., została zorganizowana studniówka. Odbyła się w Domu Rzemiosła przy ul. Piotrowskiego. Obowiązywał strój wyważony – biała bluzka oraz granatowa lub czarna spódnica. Wolno było nałożyć makijaż, ale tylko dyskretny. Chłopcy zakładali garnitury. Podobnie, jak dzisiaj, można było zaprosić osobę towarzyszącą.

Dla obecnej młodzieży ten urywek moich wspomnień to z pewnością „prehistoria”, ale tak właśnie było w latach 60. ubiegłego wieku. Obecnie do I Liceum Ogólnokształcącego uczęszcza moja wnuczka, Kasia Babińska. Cieszę się więc, że mury tej szkoły są częścią naszej rodzinnej tradycji.